


Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

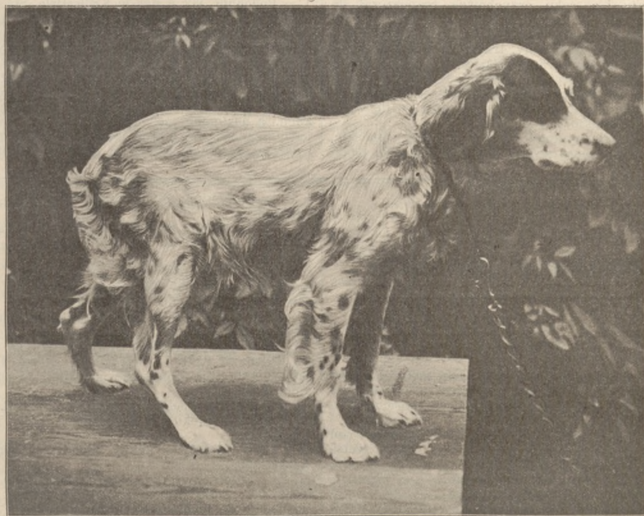
*Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.*

Ogólnego zbioru Nr. 184.

№ 22. | Warszawa, 16 listopada 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

IV-ta Warszawska Wystawa Psów.



„Bella"
setterka angielska p. Wiktora Szostaka. (Medal srebrny).

# Przegląd krajowych ssaków łownych.

*(Ciąg dalszy).*

Jeleń szlachetny zamieszkuje całą prawie Europę, z wyjątkiem Hiszpanii, półwyspu Apenińskiego, oraz Rosyi europejskiej. Wytępiony też został w Szwajcaryi i niektórych okolicach Niemiec. W Anglii spotyka się tylko jako zwierzyna parkowa, natomiast pospolitym jest w górzystych okolicach Szkocyi. Na Kaukazie jelenia szlachetnego zastępuje t. zw. jeleń perski (*Cervus elaphus persicus*), w Syberyi zaś maral (*Cervus maral*). W ostatnich czasach zaczęło utrwalać się wśród uczonych przekonanie, że jeleń karpacki nie należy do odmiany europejskiej (*Cervus elaphus*), lecz jest typowym jeleniem perskim (*Cervus elaphus persicus*). Myśl tę pierwszy wypowiedział ks. Lichtenstein, a uczeni angielscy też się skłaniają do tego mniemania.

U nas, w Królestwie, jeleń szlachetny do niedawna był tylko właściwym okolicom, leżącym na zachód od Wisły; od czasu jednak, jak, dzięki nadzwyczajnej ochrony, lasy Spalskie stały się prawdziwym rozsadnikiem tej zwierzyny, jelenie coraz częściej zaczęły się zjawiać we wschodnich guberniach (siedleckiej i lubelskiej). Przyczyniło się też do tego niemało zaprowadzenie jeleni, zrazu jako zwierzyny parkowej, a następnie rozpuszczonej na dziko, w lasach ordynacyi Zamoyskiej, oraz w Różance (pow. włodawski) Augusta hr. Zamoyskiego. W tym ostatnim majątku właściciel założył niewielki park przed kilkunastu laty i co roku przychówek rozpuszczał do obszernych swych lasów. Jelenie zaaklimatyzowały się tu wcale dobrze i dziś Różanka liczy kilkadziesiąt sztuk tej pięknej zwierzyny, trzymającej się na dziko w lasach. W każdym razie dziś jeszcze brak jest zupełny jeleni w guberniach: płockiej, łomżyńskiej i suwalskiej, a na prawym brzegu Wisły — w bezleśnej, północnej części gub. warszawskiej, oraz — o ile wiem — w gub. kieleckiej.

Wspomniałem przed chwilą, że lasy Spalskie, położone pod Tomaszowem Rawskim (w gub. piotrkowskiej), stały się prawdziwym rozsadnikiem jeleni, nietylko na zachodnie gubernie Królestwa, ale nawet na niektóre części gub. siedleckiej i lubelskiej. W samej rzeczy, przed laty trzydziestu jeleń był rzadką zwierzyną w granicach Królestwa Polskiego. Dopiero po nabyciu dóbr Spalskich przez w Bogu Spoczywającego Cesarza Aleksandra III-go i po zaprowadzeniu nadzwyczajnej ochrony w obszernych lasach tego majątku, jeleni zaczęło przybywać wszędzie, nawet w dalszych okolicach. Liczba jeleni w Spale rosła szybko i dziś dochodzi, według zapewnień osób kompetentnych, do 6,000, pomimo że administracya sprzedaje rocznie około 300 łań, byki mniej rozwinięte bywają odstrzeliwane, a okoliczni włościanie tępią jelenie w sposób barbarzyński, nie licząc się bynajmniej z ochronnemi terminami polowania.

Gdy w Spale stan jeleni podnosił się z szybkością wprost zdumiewającą, powstało jednocześnie kilka innych, bardzo ważnych rozsadników tej zwierzyny. Do najdawniejszych należą: majątek Kłobucko (gub. piotrkowska), ongi hr. Henkla von Donnersmarcka, następnie nabyty przez Cesarza Aleksandra III go i zwany dziś Ostrów, oraz majątek Trzebień-Magnuszew (gub. radomska), należący do Jana hr. Zamoyskiego. Nic więc dziwnego, że trzy tak ważne gniazda jeleni, jak Spała, Ostrów i Trzebień-Magnuszew, przyczynić się musiały do rozpowszechnienia się tej zwierzyny nawet w okolicach, gdzie ich przedtem nie było. Jelenie zaczęły nawet stale Wisłę przebywać, ukazując się sporadycznie w wielu lasach gub. siedleckiej i lubelskiej, a można mieć nadzieję, że w przyszłści na stałe się tam osiedlą. Przyczyni się też do tego niezawodnie zaprowadzenie jeleni w Różance i w Zwierzyńcu (Ordynacya Zamoyska), o czem wyżej wspomniałem.

Podobnie jak u nas w Królestwie Spała i wspomniane powyżej majątki prywatne przyczyniły się do podniesienia stanu jeleni w całym niemal kraju, tak na Litwie rolę głównego rozsadnika tej zwierzyny odgrywa Białowieża, należąca, jak wiadomo, do Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana. Litwa, jak długa i szeroka, jeleni przedtem nie znała i dopiero, gdy w Białowieży zaprowadzono najprzód tę zwierzynę w parkach, a następnie po puszczy zaczęto rozpuszczać, jelenie zaczęły się powoli rozłazić po okolicy bliższej i dalszej, a zabicie jelenia w Albertynie (gub. mińska)

---

B. ŁASKA.

# Polowanie z „kwikiem".

(Z życia rosyjskiego).

*(Dokończenie).*

Wokoło wszędzie panowała cisza głęboka, jedynie bezustanny, krzykliwy kwik prosięcia przerywał spokój nocy, przecinając okropnym dysonansem ciche, jasne powietrze.

Konie szły spokojnie stępa. Pod płozami sań trzeszczał głośno lodowaty śnieg mroźny, suchy. Z tyłu wlokła się wiązka słomy, przywiązana do sznura, podskakując na wybojach po drodze.

A wilków ciągle nie było widać...

Myśliwi jednak nie tracą otuchy; niekiedy przystawali, rozgrzewając się sporemi łykami z butelczyn, zabranych „na wszelki wypadek"; potem puszczali się dalej w drogę, ciągle pełni nadziei, aż w końcu prosiak, już i tak bardzo ochrypły, umilkł ze wszystkiem zmęczony nagle, jakby zabity.

— Cóż teraz poczniemy? Wilków żadnych niema, prosiak zamilkł — odezwał się jeden z panów.

— Spróbujmy silniej naciskać prosię — zaproponował drugi.

— To byłoby nadaremne!.. Jak je nawet zarżniecie, już nie będzie więcej kwiczało! — mniemał Dubrow.

— Moi panowie! Czas już jechać do Tolewów, nie wypada im dać tak długo czekać na siebie — oświadczył Aleksander Wasilewicz.

— Co za fatalność! Bezużytecznie stracić tyle czasu! — narzekał Dubrow.

— No, ja to zawsze powtarzałem, że nie opłaci się jechać na wilka — wtrącił się Karol Iwanowicz Bruckmann; — tak, polowanie na zające to zupełnie co innego!

— Nie opowiadaj, bo znasz się na tem, jak kura na pieprzu! — dokuczał mu Dubrow, który był z nim na „ty".

— O, ja jestem znany myśliwy, znam się na wszystkiem...

— Jeżeli wszystko potrafisz, braciszku, to kwicz teraz, jak prosię, z łaski swojej! Głos twój wybornie się nadaje do tego!

— Naprawdę, Karol Iwanowicz, kwiczcie! Macie głos donośny, spróbujcież raz! — nalegali także inni towarzysze.

— O, nie! Nie potrafię, wcale a wcale nie, głos mój jest za silny; jak zacznę krzyczeć, to pomyślą, że się odezwała duża, stara świnia... — bronił się Bruckmann w kiepskiej ruszczyźnie, a wszyscy wy-

w roku zeszłym jest faktem bardzo znamiennym, bo pozwalającym mieć nadzieję, że z czasem i lasy litewskie będą rozbrzmiewały rykiem tego szlachetnego zwierza.

Nie słyszałem, aby jelenie zaprowadzono gdziekolwiekbądź na Wołyniu, z wyjątkiem Pilawina (pow. zasławski) Józefa hr. Potockiego, gdzie zaprowadzono, obok rozmaitej innej krajowej i egzotycznej zwierzyny,—jelenia, jako zwierza parkowego. Mieć można nadzieję, że z czasem, gdy się jelenie rozmnożą należycie w Pilawinie, miejscowość ta odegra podobną rolę dla Wołynia, jak Spała dla Królestwa, a Białowieża—dla Litwy. Na Ukrainie i Podolu jeleni brak jest zupełnie, gdyż nie można brać w rachubę pojedyńczych okazów, hodowanych po parkach zamożniejszych właścicieli ziemskich.

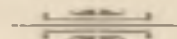
W W. Ks. Poznańskiem, w Prusach zachodnich i wschodnich, jelenie spotykają się prawie we wszystkich większych leśnictwach. Natomiast w Galicyi, tylko wschodnia, górzysta część kraju (Karpaty) jest rzeczywistą kolebką jelenia. W Galicyi zachodniej zwierzyna ta, o ile sięgają moje wiadomości, znajdowała się tylko w majątku Krzeszowicach, własności ś. p. Artura hr. Potockiego, a obecznie brata jego, JE. Andrzeja hr. Potockiego; tutaj jednak jelenie przebywały tylko w olbrzymim, bo 6.000 morgów liczącym parku, który przed kilkunastu laty przepołowiono, a obecnie skasowano zupełnie.

Jeleń, jako zwierz wspaniały, dostarcza myśliwym prawdziwych rozkoszy. Najulubieńszym rodzajem polowania dla naszej braci w św. Hubercie jest podchodzenie na rykowisku które wypada w końcu września i w pierwszej połowie października. Nie dla wszystkich jednak ten rodzaj polowania jest dostępny, gdyż jeleń, podobnie jak cietrzew lub głuszec, ma swe specyalne i zwykle bardzo ograniczone przestrzenie, w których swój zapał miłosny potężnym rykiem zwykł zwiastować. Niejeden z właścicieli ziemskich posiada w swych rewirach piękny stan jeleni, a mimo to byki na rykowisko wynoszą się gdzieindziej, do miejsc uprzywilejowanych, nieraz bardzo daleko położonych. Słyszałem zdanie wytrawnych myśliwych, że jelenie z Księstwa przychodzą na ryk do Królestwa, a nawet niektórzy twierdzili, że byki karpackie odbywają wędrówki do Spały na czas miłosnych zapasów. Są to w każdym razie objawy trudne do sprawdzenia, choć co do ostatniego wypadku, a mianowicie, żeby jelenie karpackie zachodziły aż do Spały, zachodzi przedewszystkiem wątpliwość bardzo poważna, gdyż w takim razie byki w swej wędrówce musiałyby się zjawiać w miejscach pośrednich między Karpatami a Spałą, czego bynajmniej nie sprawdzono. Prędzej uwzględnić można twierdzenie, że jelenie z Księstwa zapędzają się do rewirów, położonych w Królestwie Polskiem.

Byki podczas rykowiska stają się złe i zaczepne, a gniew swój względem rywalów posuwają do takiego zaślepienia, że literalnie o świecie Bożym zapominają. Jako ilustracyę tego przytoczyć mogę fakt autentyczny, który się zdarzył ongi w parku Krzeszowskim. Wspomniany już powyżej z okazyi zabłąkanego łosia, ks. Windischgratz podszedł bijące się dwa byki, literalnie na parę kroków, a gdy zabił jednego z nich *á bout portant*, drugi, nie bacząc na strzał i na obecność myśliwego, bił z zajadłością rogami martwego towarzysza.

*Jan Sztolcman.*

(*C. d. n.*).



*Albert Mniszch.*

# JARZĄBEK.

(Tetrastes-Bonasia).

(*Ciąg dalszy*).

Jarząbek to ptak czujny, bystry, ostrożny, a głównym rysem jego obyczajów jest życie ciche i skryte. W jego sposobie istnienia jest coś tajemniczego. Życie swoje nastraja on na nutę tajemnej pieśni borów i uroczysk leśnych, wśród których przebywa. Jest jakby zaklętym w postać szarego ptaka, duchem, żyjącym w najskrytszych matniach leśnych, w starych, szumiących prastarą baśnią buczynach, wśród łkających wieków skargą, potoków górskich.

---

buchnęli śmiechem. Nawet drzemiący na koźle woźnica śmiać się zaczął.

— No, Fiedka, spróbuj że ty raz!—zachęcał Aleksander Wasiliewicz.

-- Nie, nie, ja tego nie dokonam—wymawiał się Fiedka, kiwając głową i uśmiechając się.

— Jakoś to pójdzie, zacznij tylko — nalegał Dubrow.

Fiedka chrząknął, kaszlał, pluł, wytarł rękoma usta i począł kwiczeć, kwiczał, aż mu się nagle głos pomieszał. Śmiech powszechny rozlegał się w powietrzu. Śmiał się także Fiedka.

— W gardle, uważacie, zaschło—bronił się—, warto by je trochę odwilżyć!

— Patrzajcie, jaki chytry—zauważył Dubrow—, no, dobrze, masz, wypij!

Fiedka wychylił kieliszek sznapsa, rozweselił się i—prosił jeszcze o jeden. Dali mu powtórzyć.

— Widzicie, teraz gardło się poprawiło, teraz pójdzie — odezwał się i wypił duszkiem drugą szklaneczkę do dna.

Fiedka zakwiczał, zaczął się sam dusić za gardło, ciągle jednak głos mu się załamywał tak, że ani razu nie kwiknął jak się należało; widocznie w gardle było jeszcze ciągle trochę „za sucho“, albo też nie znał się na „muzyce świńskiej“.

Dubrow robił mu wyrzuty z powodu nieudolności, Fiedka odchrząknął, zaczął się starać, zarazem niemal pękając od śmiechu.

— Rozkazujcie lepiej, żebym rechtał na sposób świński, to przecież wszystko jedno, wilk się znęci także na rechtanie — mówił teraz zupełnie poważnie Fiedka.

-- Dobrze, więc rechtaj! -- przytakiwał mu Dubrow.

I Fiedka rechtał.

Tutaj Fiedka okazał się wielkim znawcą tej sztuki, rechtał po mistrzowsku! Rulował przytem także gardłem, przygwizdywał wargami raz silniej, to znowu słabiej, wydobywając najrozmaitsze tony, naśladujące już to maciorę, już prosiątko.

Myśliwi z początku się śmieli, potem jednak słuchali z zajęciem. Prosię, dawno już leżące cicho i spokojnie w worku, zaczęło się nagle poruszać, usłyszawszy do złudzenia naśladowane „dźwięki rodzime“.

Rechtanie Fiedki imponowało szczególnie bardzo młodemu jeszcze Zorkinowi, który zaczął się rozglądać uważnie po okolicy, spodziewając się każdej chwili przybycia wilków.

Nie zjawiły się jednakże.

Polowanie stawało się nudnem.

— Jedźmyż nareszcie do Tolewów, moi panowie, już największy czas!— przypominał Aleksander Wasiliewicz.

— Tak, jedźmy--przytakiwali inni.

Fiedka był bardzo wesoły. Szło mu przecież do-

I dziwnie ptak ten umie się ukrywać. Przez najbogatszy w jarząbki rewir przejść można i obecności tych ptaków ani się domyślać. Czasem tylko usłyszysz charakterystyczne burknięcie i mignie ci się wśród gałęzi duży ptak szary o jasnem skrzydel podbiciu. Ukazał się, jak duch, i zniknął, jak duch, w mroczy leśnej. Daremne byłyby twe usiłowania, by go raz jeszcze zobaczyć, a nawet usłyszeć.

Ta skrytość i tajemniczość jarząbka dała powód do najrozmaitszych baśni i podań ludowych o początku istnienia tego ptaka, jak i o powodach jego bytu i sposobach jego życia.

I tak wśród starych, o bujnej fantazyi naturalistów z minionych wieków panowało przekonanie, że jarząbek zawsze jednem okiem w niebo patrzy, by się nie dać porwać jastrzębiowi. Opowiadają sobie u ludów północnych, że jarząbek był to ptak niegdyś bardzo wielki, lecz że był pysznym i niespokojnym, a pewnego świętego pustelnika łopotem skrzydeł przestraszył i w pobożnych rozmyślaniach mu przeszkodził, na karę stopniowego zanikania skazany został. Baśń ta łączy się z przepowiednią, że gdy jarząbek tak zmaleje, że się przez dziurkę igły przeciśnie, będzie koniec świata. Najciekawszym może tworem fantazyi ludów północnych jest mniemanie, że jarząbek znosi jaja, które jaszczurki wysiadują, a z których się bazyliszki lęgną.

Wszystkie te baśnie, legendy i twory bujnej wyobraźni mają dla nas wartość o tyle, że uwydatniają nam rysy charakteru i obyczajów opisywanego przez nas gatunku i świadczą o jego ostrożności i sposobie tajemniczym życia.

Jarząbek, raz spłoszony, zwykle już daleko gdzieś na drzewie siada i podejść się nie daje. Z powodu krótkich, stosunkowo do korpusu, skrzydeł, zrywa się z głośnem i charakterystycznem burknięciem, ale lot jego jest płynny, cichy i, jak u wszystkich innych kuraków, nader szybki. Strzał do przelatującego jarząbka jest jednym z najtrudniejszych. W porze godowej wydaje on w locie, podług Krüderera, specyalny dźwięk za pomocą lotek, który niektórzy myśliwi umieją naśladować, a który ma być niezawodnym sposobem zwabienia samca na strzał. Lot ten ma w myśliwskiem słownictwie niemieckiem utarte wyrażenie: „Balzflug".

Przestraszony jarząbek umie jednak bez najmniejszego szelestu zlecieć z drzewa, a urządza to w ten sposób, że ze złożonemi skrzydłami, jak zabity, z drzewa pada, aby się jaknajprędzej w krzakach ukryć. Lecąc, stara się omijać zawsze miejsca otwarte, jak łąki i polanki; dyktuje mu to wrodzona ostrożność. W niebezpieczeństwie umie on tak się do drzewa przytulić, że go trudno, a czasem i niepodobna z dołu dopatrzeć. W okolicach, gdzie go nie tępią, jak np. w rewirach górskich, gdzie, by nie płoszyć jeleni, do jarząbków nie strzelają, ptak ten okazuje wiele śmiałości; spłoszony z ziemi, zaraz na drzewie siada i spokojnie się człowiekowi przypatruje. Chodząc po ziemi, okazuje ten ptak wiele ruchliwości i, jak wszystkie kuraki, doskonale biega.

Najbystrzejszym zmysłem u jarząbka jest słuch. Słyszy on na wielką odległość każdy szelest w lesie, każdy krok człowieka lub drapieżnika i dlatego tak rzadko bywa widzialnym, a częściej tylko słyszanym.

Jeszcze jeden rys charakterystyczny tego ptaka, to wrodzona ciekawość, właściwość zresztą innym zwierzętom, a szczególnie ptakom, nieobca. Jeżeli mu się wyda coś podejrzanem lub niezwykłem, stara się temu dokładniej przypatrzyć i często przypłaca życiem tę ciekawość. W chwilach krytycznych traci czasem głowę; zamiast uciekać, nieruchomo siedzi, lub z jednego drzewa na najbliższe drugie się przenosi, a chybiony w locie, bardzo często zaraz na najbliższej gałęzi zasiada.

W swoim myśliwskim dzienniku mam zapisany pod datą 24 listopada 1889 fakt zabicia na polowaniu z naganką na jednem stanowisku dwóch jarząbków, które oba przezemnie w locie z pierwszej lufki chybione, zaraz na drzewie najbliższem usiadły.

Jarząbek, młodo schwytany, daje się łatwo ułaskawić, a nawet, jako wabik, do łowów używać. Valentinitsch podaje, że myśliwy, nazwiskiem Grünkranz, zabił w dwóch latach przy oswojonym jarząbku 26 kogutów i jedną kurę tego samego gatunku.

Jak skromne są obyczaje opisywanego przez nas ptaka, tak skromnem jego codzienne pożywienie. Skromne ono jednak jest tylko co do wyboru, gdyż jada zresztą bardzo obficie. Młode żywią się mrówczemi jajami i drobnemi owadami. Stare jadają chętnie młode liście malin i innych krzewów, pączki i samcze kotki leszczyny i brzeziny, nasiona ziół le-

---

brze! Zanucił więc sobie piosenkę, którą jednak przerwał nagle i zamilkł.

— Śpiewaj dalej — wołał Dubrow.

— Nie umiem dokończenia, zapomniałem — tłomaczył się Fiedka.

— No, to śpiewaj co innego!

— „Pomnij, pomnij, mój miły gołąbku" — zaczął, popędzając „trójkę" —, „pomnij, pomnij, mój miły gołąbku, naszą pierwszą mi-i-łość" — śpiewał z wysiłkiem niemuzykalny i zupełnie już ochrypły Fiedka, gdy konie właśnie skręcały ku wiosce.

U Tolewów nikt nie spał jeszcze, z niecierpliwością oczekiwano gości.

— Moi panowie, to bardzo nieładnie z waszej strony — narzekał wyszły na spotkanie, dobroduszny starzec, Tolew, — czekamy na was z żoną już od zmroku!

— Tak, myśmy właśnie polowali! — tłomaczyli się goście.

— Gdzież więc są wasze wilki? — drwiła z głośnym śmiechem Nina Pawłówna, Tolewa młodziutka żonka, niebieskooka, nieco za bujnych kształtów, lecz wesoła, rezolutna blondynka, która męża swego nazywała stale „papką".

W domu Tolewa ożywiło się teraz. Śmiano się, żartowano, goście przedewszystkiem rozgrzewali się herbatą, poczem zjedli kolacyę i, jak zwykle, zasiedli do kart.

Z początku „zabawiano" się tylko trochę, potem jednak zaczęła się gra „ostra".

Aleksander Wasiliewicz przegrał kilka poważnych „banków", a potem szło mu także przy ponterowaniu bardzo źle. Nina Pawłówna siedziała w salonie przy otwartym fortepianie, przypominając sobie w nieśmiałych akordach coś, widocznie już dawno zapomnianego.

— Grajcie, Nina Pawłówna! — rzekł, podchodząc do niej, Aleksander Wasiliewicz, który po ustawicznych przegranych odłożył karty i opuścił partnerów.

— Czemuście uciekli ztamtąd?

— Bo ciągle przegrywałem, karta mi nie szła!

— To dobry znak... — uśmiechała się Nina Pawłówna.

— Jakto? — dziwił się i przysunął nieco bliżej ku niej.

— Oczywiście, że to dobry znak! Za to szło Wam lepiej na polowaniu, — śród wilków — drwiła dalej wesoło. — Musiała to być dzisiaj dość długa podróż sanną przy świetle księżyca!

— Nikt chyba i Wam nie będzie przeszkadzał, jeżeli się wybierzecie w podróż; zdecydujcie się prędko i puścimy się w drogę!

— Naprawdę? A Wy się ze mną zabierzecie? — Przypatrywała mu się, a lekki uśmiech przemknął nieznacznie w kącikach jej ust.

— Z Wami? Na koniec świata.

śnych i drzew szpilkowych, jagody malin, ożyn, a szczególnie kaliny i jarzębiny, w okolicach mniej dzikich, a więc na niżu, jadają też chętnie i ziarno zbożowe.

Za pożywieniem wybiera się czasem z głębi na kraj lasu, paprze się w prochu na drogach i odwiedza łany, leżące pod lasem.

Wobec tej niewybredności jarząbka co do doboru pożywienia, obiad jego codzienny obfituje zawsze w wiele dań najrozmaitszego rodzaju i niema obawy, by wśród najostrzejszych nawet zim, znalazł się kiedy przy próżnym stole.

O szkodliwości jarząbka dla kultury leśnej, czy rolnej, niema mowy. We wschodnich Alpach zdarza się czasem podczas ostrej zimy, że jarząbki napadają na sady i objadają pączki drzew owocowych, rzadko to jednak się zdarza.

Dla leśnictwa jarząbek jest pożytecznym przez grzebanie w ziemi i pogłębianie przez to nasienia drzew. Na wielkim obszarze północnej Rosyi daje jarząbek ludziom wielkie dochody i handel tą zwierzyną daje utrzymanie całym rodzinom.

O odmianach w upierzeniu mówiliśmy już na początku niniejszej pracy, tu tylko wspomnieć należy, że jarząbki podpadają albinizmowi, jak wszelkie inne ptaki, lecz trafia się to dość rzadko. W „Jagd Zeitung" (Wiedeń, 1897) opisany był całkiem biały kogut z brunatną tęczą, zabity w Inflantach.

Krzyżowania jarząbka z innemi gatunkami kuraków, zdarzały się już nieraz. O bastardach przez krzyżowanie jarząbka z pardwą, jak również jarząbka z cietrzewiem, wspominają Bogdanow, Büchner, Dresser, Valentinitsch i Prażak. Ten ostatni wspomina o bastardzie, zrodzonym z jarząbka i cietrzewia, kupionym na rynku we Lwowie w r. 1900 (Zur Ornis Ostgaliziens).

(C. d. n.).

(*„Łowiec"*).



# W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

*16 września.* Idziemy w ciągu siedmiu godzin przez góry jałowe, wyschłe i pokryte rzadką roślinnością kolczastą. Widzimy stado elandów i strusiów, które możnaby łatwo podejść; lecz nawoływania Ongwatochy psują nam wszelką szansę spotkania.

Rozbijamy obóz nad brzegami Molo w niewielkiej odległości od Austin Falls. Jest to cała serya małych wodospadów, z których ostatni ma 6 metrów wysokości i 30 szerokości. Każemy ściąć kilka drzew, aby odsłonić widok na ten wodospad. Właściwie należałoby wdrapać się na olbrzymie drzewo, rosnące pośrodku rzeki w dół od wodospadu, skąd możnaby jednym rzutem oka objąć całą tę seryę bystrzyn. Lecz zbyt jest gorąco i nawet Guy woli się kąpać w zimnej, jak lód, wodzie, w cieniu tego drzewa. Wieczorem burza.

*17 września.* Guy wyrusza o pół do szóstej, udając się w kierunku równoległym do pięknej, zielonej doliny rzeki Molo wzdłuż górzystego grzbietu, który nad nią panuje. O godzinie 7-ej, a zatem przy białym dniu, słyszę naraz w oddali koncert lwów: lecz trzebaby kilku godzin czasu, aby się tam dostać. Mąż mój przebywa rzekę Molo po wywróconym pniu drzewa i puszcza się, nb. bez skutku, za dużym samcem strusia, a następnie poluje również bez rezultatu na stado antylop Jacksona. Wiatr kręci się ciągle i to mu przeszkadza jeszcze w podejściu trzech górskich reedbuck'ów (*Cervicapra fulvorufula chanleri*). Udaje mu się nakonice odbić od stada dużego m'palaha, którego celnym strzałem zabija; poczem wraca do obozu, zdobywszy po drodze kilka sztuk „drobiu" (kuropatw, pentarek) na kuchnię.

W tymże samym czasie nasz obóz zamienia się

---

— Nie, nie, tak daleko nie pojedziemy!—odparła, wychodząc, Nina Pawłówna i kazała zajechać sankom jednokonnym.

Zaczęła się ubierać.

— „Papka"! – rzekła do męża –, jedziem trochę na spacer z Aleksandem Wasiliewiczem!

— Jedźcie, owszem, duszko, to ci bardzo dobrze zrobi! — rzekł „papka", spoglądając z uśmiechem na swą młodą żonkę. Był akuratnie sporo wygrany, a przeto i w usposobieniu nader wesołem.

Po chwili zaraz wyjechali Nina Pawłówna i Aleksander Wasiliewicz na małych, lekkich saneczkach, sami, bez świadków.

„Ona" naturalnie powoziła, a „on" pomagał jej trzymać cugle.

Nie ujechali zbyt daleko, poczem nawrócili, dążąc ku domowi. Ujeżdżony, posłuszny koń szedł spokojnie, niedaleko za nimi biegł kundel podwórzowy, który zabrał się z nimi na wycieczkę, nie opuszczając ich ani na chwilę podczas jazdy.

Przez drogę powrotną Aleksander Wasiliewicz trzymał Ninę Pawłównę za talię, ściskając ją mocno, a jeszcze mocniej ją przyciskał do siebie „przez ostrożność", gdy przejeżdżali każdy rowek i wybój na drodze. Nagle pies za nimi zaskowyczał krótko i zboczył z drogi.

Koń się uląkł i poniósł. Niny Pawłówny drobne rączki drżały i nie mogły utrzymać cugli... Na szczęście uchwycił je Aleksander Wasiliewicz i zatrzymał konia.

Oboje obejrzeli się za siebie: Psa już nie było koło sanek, za któremi unosił się tuman śniegu, a wśród niego stadko wilków coś rozdzierało na kawały.

Nina Pawłówna była przerażona, zaczęła płakać. Aleksander Wasiliewicz ją pocieszał. Teraz, rozumie się, nie pozostawało mu nic innego, jak popędzać konia z całych sił do jaknajszybszego galopu, rezygnując ze spaceru i przejażdżki przy świetle księżyca.

Nieprzyjemny wypadek wywołał w nich dziwny nastrój. Nina Pawłówna litowała się nad psem, Aleksander Wasiliewicz narzekał, że nie miał przy sobie broni. Ona wzdychała, on ją pocieszał.

A potem, już w ciepłym, wygodnym salonie, pośród wesołego śmiechu i hałasu otoczenia, ten sam nastrój ogarnął oboje.

Goście w dalszym ciągu do kart się zabrali.

Nina Pawłówna zasiadła wtenczas do fortepianu i Aleksander Wasiliewicz przysuwał się do niej coraz bliżej. Szeptał jej coś do ucha i ona — skinęła tylko milcząco, słodką główką, poczem ze spuszczonemi oczyma, marząc, wydobywała zaledwie słyszalne akordy — — —.

*Przełożył J. O.*

na prawdziwe laboratoryum wypychacza zwierząt: czaszki, skóry czworonogów, ptaki—wszystko to wymaga ciepła słonecznego, aby to wysuszyć po wczorajszej burzy i w przewidywaniu dzisiejszej nawalnicy.

*18 września.* Dziś posuwamy się przez 5 godzin w części po brzegu rzeki Molo, a po części przez równinę, na której widać mnóstwo antylop Thomsona, m'palahow, zebr i phacocherów. Guy zabija kilka sztuk, jak również wspaniałego roll'a (?) i prześliczną, małą żołnę.

Rozbijamy obóz na brzegu jednego z dopływów rzeki Molo i w małej odległości od siedziby pewnej rodziny boerskiej, złożonej z 8-u osób, która tu przybyła pocieszyć się po epizootyi Transwalu, aby spotkać się tutaj z tą samą chorobą. Jeden z synów przynosi nam mleko i opowiada, że bawił nad jeziorem Solai, gdzie widział 40 słoni i 8 bawołów. Pomyśleć sobie, żeśmy przeszli ledwie o 20 mil od tego miejsca.

Inny znów kolonista opowiadał nam, że był świadkiem wycieczek p. M. de R., który mu pokazywał cztery skóry lwów, jakoby zabitych przez niego, gdy tymczasem murzyni wyjaśnili mu heroiczny sposób polowania tego pana: 60 Somalisów uzbrojonych i na mułach, otaczało lwa i pędziło go, jak byka, strzelając z broni palnej i szpikując swemi lancami. Następnie sprowadzono p. de R., który dostrzeliwał ofiarę, jak psa!

*19 września.* Wyruszamy o pół do siódmej. O 20 minut drogi od obozowiska widzimy strusie, najspokojniej żerujące w odległości 700 do 800 metrów; czekamy więc na karawanę, aby zorganizować obławę, gdyż słusznie należy nam się ta piękna zdobycz. Skrzydła obławy zajmują olbrzymią przestrzeń, w środku której ukrywamy się starannie po za skałami. Naraz Guy daje mi znak, abym posunęła się naprzód i strzelała. Spotykam się oko w oko z dwoma phacocherami, które dzieli odemnie przestrzeń zaledwie 20 metrów. Tak jestem rozgorączkowana, że zapominam opuścić wizyer, nastawiony na 150 metrów! Ma się rozumieć—pudluję, co mnie pozbawia humoru, gdyż była to niewątpliwie jedyna sposobność zabicia phacochera z mego małokalibrowego karabinka St. Etienne.

Strusie tymczasem zbliżają się, lecz zamiast iść na nas, forsują linię obławy między askarisem a tragarzem, którzy najspokojniej zasiedli sobie i nawet palcem nie ruszyli, gdy ptaki szły na nich. Taka obojętność może rozwścieczyć każdego... To też Guy dał ujście swemu gniewowi.

Posuwamy się następnie w oceanie wysokich traw po rozległej wyżynie, którą dostajemy się w sąsiedztwo jeziora Nakuru. Guy zabija dwa bubalisy (wielkie antylopy krowie, *Przyp. tłóm.*), phacochera i antylopę Thomsona. Przybywamy na stacyę kolei żelaznej o godz. 3-ej, gdzie sprawdzamy, czy pociąg, który ma zawieźć naszych tragarzy do Nairobi, odejdzie jeszcze dzisiaj. Dowiadujemy się, że ten pociąg, na który Guy liczył, dochodzi tylko do Nakuru; że zatem należy wyjechać dziś jeszcze, albo czekać do soboty. Guy nie waha się ani chwili, mimo zapewnień misyonarza, że to jest niemożliwe. Dla mego męża niema nic niemożliwego, gdy ma przed sobą 12 godzin czasu—wszystko jedno dniem, czy nocą. Zaczynamy od rozrachunku z naszymi ludźmi; następnie zakupujemy wszelką prowizyę u Hindusa; kończymy załatwienie tych spraw o g. 7-ej, poczem zjadamy obiad. W tej chwili przybywa pociąg i pasażerowie wysiadają z wagonów, w nadziei, że będą się mogli przespać do 5-ej w domu noclegowym. Biedni ludzie! Do godziny 2-ej w nocy był tu rwetes nieopisany. Zabijano paki, przerzucano blaszane skrzynki, wołano co chwila to Salima, to Hassaniego i t. d. A do tego dodać miły zapach wszystkich naszych trofeów — skór, czaszek etc. Guy wraz z Henrykiem rozdziela je pomiędzy tragarzy, którzy udają się pieszo do Naivashi pod wodzą jednego askarisa. Sprawa ta zajmuje im resztę nocy, gdy tymczasem ja i misyonarz kładziemy się znużeni, do łóżek, aby przespać się choć trochę. Nie jest bynajmniej łatwą rzeczą przygotować w ciemnościach ekspedycyę, złożoną z 30-tu ludzi ze zdobyczami dwumiesięcznej wyprawy.

*20 września.* Ranek i dzień spędzam bezczynnie, a mimo to, wieczorem padałam literalnie ze znużenia. Anglicy (między nimi znajduje się dama w poważnym wieku) przybyli, aby wypocząć po kilku dniach „życia na wsi (*camp life*), ziewali razem ze mną, co nam dało pretekst do zawiązania rozmowy. Schwytaliśmy nawet wspólnie pięknego, czarnego motyla, poczem rozmawialiśmy o ubiegłej nocy... oh!... what a night mare!

*21 września.* Sprzedajemy nasze trzy osły za 60 rupij Hindusowi, Suzie. Jeden jest kulawy, drugi dychawiczny, a trzeci strasznie chudy. Handel udał nam się wcale dobrze.

Udaję się wierzchem na mule do jeziora, do którego jest spory szmat drogi, chociaż z wysokości zdaje się, jakby leżało tuż pod naszemi nogami. Dowodzi to, jak trudno jest ocenić dystans w atmosferze podzwrotnikowej. Po drodze spotykam 3 steinbucki i 2 dropie; żal mi teraz, że nie mam swego karabinka; lecz, niestety, już się skończyło życie w dżungli, skończyły się polowania! Muszę się pogodzić z myślą, że teraz jestem zwykłą „turystką“ w Szwajcaryi lub we Włoszech!

Kończymy pakowanie skór i czaszek; wysyłamy je przez 8 iu Kikuyów, którzy mają je odnieść do Naivashi, gdzie je zabierzemy po powrocie z Ugandy. Kimani robi sobie rodzaj płaszcza kardynalskiego z czerwonej podszewki mojej parasolki, od której rączka służy mu za laskę.

Zatrzymujemy Maifamaikę, aby odprowadził mulicę do Nairobi, gdyż nie można było tu znaleźć kupca na nią. Oprócz naczelnika stacyi, spotkać tu tylko można trochę ludności kolorowej.

*22 września.* Wyprawiamy nasze skrzynie i utensylia obozowe częścią do Nairobi, a częścią do Mombasy. Robię dziś przegląd mej kolekcyi ptaków.

*23 września.* Ranek dzisiejszy był bardzo chłodny. Naczelnik stacyi przynosi mi list Guy'a, datowany z Port Florence. List ten przyszedł pociągiem dzisiaj w nocy. Guy donosi mi, że skręcił ku Kibigori, zamiast jechać statkiem po jeziorze, aż do granicy Afryki niemieckiej.

Dzień spędzamy na pisaniu i na wypoczywaniu. Pod wieczór udaję się na przechadzkę, aby raz jeszcze spojrzeć na to jezioro, które było ostatnim etapem naszego pobytu w dżungli... Przypominam sobie wszystkie wrażenia naszych polowań; stają mi w pamięci te burze, których grom, powtarzany tysiącem ech po górach i wąwozach, słyszę jakby w rzeczywistości. Niestety, jakżeż to już wszystko daleko!

Nadchodzi pociąg i zajmujemy nasze miejsca. Pierwsza klasa zajęta, więc naczelnik stacyi opróżnia jeden przedział klasy drugiej i markuje go jako „zajęty“. Suza przedstawia nam nadkonduktora, który jest jego osobistym przyjacielem. Ciemność nocy nie pozwala mi widzieć wspaniałych urwisk Mau, więc udaję się na spoczynek i zasypiam.

(*C. d. n.*).

# Ze wspomnień starego myśliwego.

## Curiculum vitae „Pana Gordona“.

Gdy skończyłem szkoły, zdechła mi stara suka rasy, zwanej wówczas polską. Na wakacye zatem zostałem bez wyżła.

Po wakacyach pojechałem do Warszawy na kursa, przeszło więc dwa lata byłem pozbawiony przyjemności polowania. Starać się o wyżła ułożonego nie chciałem; wreszcie nie tak to łatwo było takiego dostać w owych czasach. Daleko większą przyjemność obiecując sobie z psa, którego sam wychowam, ułożę odpowiednio do swego usposobienia i temperamentu, a który mnie znać, lubić — również, jak ja jego znać i lubić będę.

Nareszcie dostałem od sąsiada w lipcu zaledwie odessanego szczeniaka po dobrej suce, znamienitej rasy kurlandzkiej, która wówczas przeważnie panowała w kraju. Radość moja nie miała granic.

Natychmiast ułożyłem sobie plan postępowania i wykształcenia dobrego pomocnika. Najprzód postanowiłem, że nikt, oprócz mnie, jeść mu dawać nie będzie, że sypiać będzie przy mojem łóżku i o ile tylko można, będzie zawsze przy mnie. Dalej, że przedewszystkiem umysł jego rozwijać będę tak, aby znał i rozumiał dobrze moją mowę, sygnały świstem i wskazówki ręką, by rozumiał, co powinien robić na polowaniu, by umiał sobie poradzić w każdym wypadku, a wreszcie, aby nieledwie zgadywał moje myśli. Planu tego stale się trzymałem, a jak mi się powiódł, zobaczymy w praktyce na polowaniu. Wykonywałem go zaś w ten sposób: Od samego początku mówiłem do niego wyraźnie, zawsze jednakowemi wyrazami, przy każdej odpowiedniej okoliczności, w celu, aby zapamiętał znaczenie wyrazów; nazwałem go Gordon i zawsze do jedzenia wołałem go tem mianem. Najpierw też pojął ten wyraz.

Gdy wzmocnił się o tyle, że już mógł dobrze chodzić po podłodze i podwórzu, przystąpiłem do nauki aportowania, warowania i t. p. umiejętności niezbędnych dla wyżła. Nie trudno mi to przyszło, bo był to psina wesoły, ruchliwy... Gdy już dobrze umiał aportować przedmioty, rzucane na środek pokoju, zacząłem rzucać po kątach, w miejsca coraz trudniejsze, by go zmusić do szukania i wynalezienia. Gdy sobie rady dać nie mógł, naprowadzałem go w ten sposób, że znaleźć musiał, przez co budziłem w nim zaufanie do moich rozkazów, a pokazało się to arcypożyteczne na polowaniu. Takie nauki, krótko trwające, powtarzałem zawsze parę razy dziennie, stale wynagradzane dobrem słowem, pogłaskaniem, a przedewszystkiem jedzeniem, pamiętając na stare nasze przysłowie: „ptak dla mięsa, pies dla chleba, koń dla owsa—siłą się nauczą radzi“. Przedewszystkiem przy nauce aportowania nigdy nie okazywałem zniecierpliwienia, a jeżeli kiedyniekiedy wypadło ukarać Gordonka, to zawsze za nic innego, tylko za nieposłuszeństwo,—posłuszeństwo bowiem uważam jako najsilniejszą podstawę dobrego wykształcenia wyżła; pamiętałem tylko, żeby nie przebierać miary, być sprawiedliwym i zawsze tak tę rzecz wykonać, żeby pies dobrze rozumiał, za co został ukarany.

Dobra mi wypadła pora do nauki Gordona. Dostawszy go w lipcu, miałem dość czasu przed nadejściem wiosny, aby go wykształcić i nie popaść w błąd, biorąc nieuka odrazu na polowanie, wtenczas człowiek zmęczony, czasem zirytowany, może popełnić niesprawiedliwość, przeholować w karaniu i tym sposobem raz na zawsze zrazić psa do polowania. Widziałem to. Gdy psiak nieco podrósł, zacząłem go brać w pole, najprzód drogą, potem na łąkę skoszoną, na ściernie. Z początku chodził za nogą, bojąc się widocznie odejść odemnie. Na jednej z takich przechadzek strzeliłem do czegoś tam; tak się tego przestraszył, że z ogromnym krzykiem zaczął uciekać ku domowi; dogoniłem go, wybuzowałem i zawróciłem z sobą; potem już nie uciekał.

Później nieco podobały mu się skowronki, zaczął je gonić, za co karciłem go jedynie słowami; nie okazywał wreszcie wielkiego zapamiętania w gonieniu. Gdy nabywał coraz większej ochoty do ptaków, chciałem spróbować, jak się też znajdzie przy zającu; w tym celu, znalazłszy w ogrodzie młodzika, wielkości polowy zająca, strzeliłem i zajęczyna się przewrócił. Gordon rzucił się nań w tej chwili i chwycił go za gardło, lecz zając, podłożywszy tylne skoki pod niego, zrzucił go, aż kozła przewrócił. Tak było parę razy, poczem psina zziajany, ale nadzwyczaj uszczęśliwiony, obwąchywał go i lizał. Byłem z tego niezmiernie zadowolony, widząc, że aby tylko miał wiatr, to o ochotę turbować się nie będę potrzebował.

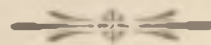
Tak zeszło lato i jesień, w ciągu której Gordon, licząc zaledwie czwarty miesiąc, nie stojąc wprawdzie, wyszukał mi parę kszyków, które zabiłem. Zima zeszła na codziennem powtarzaniu nabytych nauk, zawsze przed jedzeniem; na mówieniu do niego i uczeniu posłuszeństwa, a właściwie ufności do moich rozkazów. Jakże mi to później było pożyteczne!

Mieszkałem nad Wieprzem; ptactwa wodnego i błotnego było poddostatkiem, a i przepiórek na łąkach. Zeledwie więc woda zeszła z brzegów, już ja się tam z Gordonem znalazłem. Kaczki były, ale dla początkującego, jak ja, myśliwego, nie tak łatwe do zabicia. Gordon zatem zaczął się zacinać do małych ptaszków, a wreszcie stawać do ich gniazdek; strofowałem go za to, mówiąc: „mały ptak“, i zlekka uderzałem po pysku. Trwało to dopóty, dopóki nie zjawiły się chróściele i przepiórki, wtedy odrazu stawać do nich zaczął, a pokazując mu zabite, zawsze je nazywałem odpowiedniem nazwiskiem, przez co nauczył się właściwego zachowania z każdym z poznanych ptaków. Od tej pory brałem zawsze kawałek chleba i za każdą rzecz, dobrze wykonaną, darzyłem go pogłaskaniem i kawałkiem chleba.

W maju i początkach czerwca są już spore kaczęta, w tym właśnie czasie dziwny się wyrodził stosunek pomiędzy mną a Gordonem. *De jure* byłem jego zwierzchnikiem i nauczycielem, teoryi w głowie miałem dosyć, ale praktyki bardzo niewiele, a cóż znaczą teorye bez praktyki! Gordon był frycem, równym mi zupełnie, jednak ja od niego nauczyłem się kilku rzeczy, których prawdopodobnie nie znałbym do dnia dzisiejszego... I tak: szedłem łąką popod krzakami, w których było małe jeziorko, niewielką czątką przytykające do łąki. Gordon szedł naprzód kilkadziesiąt kroków. Nad jeziorkiem stanął. Przeszedłszy najwyżej dwadzieścia kroków, zastaję na środku jeziorka starkę-krzyżówkę z 7-iu sporemi kaczętami, kręcącą się i pokwakującą, formalnie ogłupiałą, bo się bała zerwać; strzelbę miałem nienabitą, bo śrót wystrzelałem. W oczach kaczek nabijam prochem pistonówkę, odrywam parę guzików i dopiero po strzale starka się zerwała, a młodki dały nurka. Takim sposobem zabiłem pierwszą w życiu cyrankę, a później parę gatunków rzadkich kaczek, których prawdopodobnie nigdybym był inaczej nie zdobył.

*K. Dębicki.*

*(Dok. nast.).*



*Józef hr. Potocki.*

# Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

## CEJLON.

*(Ciąg dalszy).*

26 lutego. Nowa osobistość przyłączyła się dziś do naszej kompanii. Jest nią słynny tropiciel, nazwiskiem Maduma, z pochodzenia Wedda, znany niemal w całym myśliwskim świecie Cejlonu. Po odjeździe

lorda Cairns'a, któremu sześć tygodni służył, jako traker, przyszedł nam swe usługi ofiarować. Przyjęty został z radością. Pierwszy raz mam sposobność oglądać w nim osobnika interesującej rasy Weddów, o której nie mogę tu nie wspomnieć choć w krótkości.

Od czasu, gdy teorya Darwina o rozwoju rodu ludzkiego, negując ogólne, od szeregu wieków istniejące pojęcia o jego genezie, dała wielu uczonym pochop do nowych badań na polu etnografii porównawczej i psychologii, poczęto specyalnie trudnić się studyami nad najniższemi rasami ludzkości, których nieliczne resztki z zamierzchłej przeszłości aż do naszych czasów przetrwały. Między tymi dzikimi ludźmi natury, najniższe miejsce zajmują Weddowie, czyli pierwotni mieszkańcy Cejlonu. Głębokie studya i badania odkryły w nich jeden z najstarszych i najprymitywniejszych szczepów rodzaju ludzkiego, który wielu oznakami moralnemi i samą budową ciała zasadniczo od innych ras się różni i więcej do t. zw. antroposimiów, niż do zwykłych ras ludzkich, jest zbliżony.

Uczeni klasyfikują Weddów jako resztki prastarej odmiany rasy ludzkiej, t. zw. *varietas primaria* (euplocomon vel cymotrichen), która przed wielu dziesiątkami wieków, na tysiące lat przed Buddhą i erą chrześciańską zamieszkiwała kontynent dzisiejszego Hindustanu. Stąd zapewne jeden odłam tej rasy prymitywnej pod nazwą Weddów dostał się do Cejlonu. Daleko później zjawili się Syngalezi, powstali z krzyżowań rozmaitych ras indyjskich, i po długich walkach stali się panami „rajskiej wyspy“, rugując autochtonów w najgłębsze i najniedostępniejsze tajniki gór i borów, gdzie do dziś dnia, acz w niewielkiej liczbie, w „rajskim stanie natury“ przetrwali.

Już uczony Tebańczyk, Palladius, wspomina w swych kronikach z IV wieku o dzikich Weddach Cejlonu, jako o ludziach, na najniższym stopniu kultury stojących, i charakterystycznem jest, że owe opisy z najdawniejszych czasów w całości do dzisiejszego ich stanu zastosować się dadzą. Żyją w niedostępnych kniejach najgłuchszych borów i w skalistych jaskiniach górskich okolic, wolni od trosk i światowego zgiełku, bogaci — bo nie znają potrzeb, obchodzą się bez domostw i gospodarskich narzędzi. Polowanie stanowi ich jedyne zajęcie, a las daje im wszystko, co do życia potrzebne. Żyją zadowoleni i szczęśliwi, otoczeni obcą ludnością, od której stronią i której nie pragną.

Dżungla ich światem, karmicielką i dobrodziejką, alfą i omegą ich egzystencyi. Dzisiejszy obszar ich zamieszkania ciągnie się wązkiem pasmem górzystej okolicy na północ od rzeki Kumbukkan, wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy, gdzie dżungla jest najdziksza i najmniej zaludniona. Liczbę ich obecną na Cejlonie obliczają na niecałe dwa tysiące, czyli mniej, niż jeden pro mille ogólnej ludności.

Właściwością ich bytu jest, że nie skupiają się razem w liczniejsze osady, lecz żyją izolowani pojedyńczemi rodzinami, rozproszeni po lasach i górach. Dzielą między sobą las na osobne rewiry łowieckie dla poszczególnych rodzin i surowo przestrzegają wzajemnie nienaruszalność owych rewirów. Obchodzą się bez stałych domostw i osad, koczują gdzie wypadnie, w cieniu drzew olbrzymich lub w jaskiniach wśród skał niebotycznych. Te ostatnie stanowią zwykle ich mieszkanie. Śpią na gołej ziemi bez poprzedniego urządzenia jakichkolwiek legowisk, i pod tym względem stoją niżej nawet od gorylów i orangutangów, które sobie choćby z liści lub suchych gałęzi legowiska układają.

Organizacyi społecznej nie posiadają; z rodzinnych instytucyj znają małżeństwo, które w pewnych porach między sobą zawierają. Z natury są uczciwi i spokojni; obchodzą się bez praw, przepisów lub sądów.

Wzrostu są małego, budowy ciała chudej i kościstej, odznaczającej się niezwykłą długością rąk w stosunku do korpusu; stopy mają duże i płaskie; wielki palec u nogi, jak u małp, w sporym odstępie od sąsiedniego, na zewnątrz zwrócony, jakby do chwytania zdolny. Kolor skóry ciemno-bronzowy. Czaszka mała i śpiczasta, twarz szeroka i płaska, zęby krzywo wystające, jak u karnivora, wreszcie zarost ciemny, i kudłate, długie włosy dopełniają niezbyt ponętnego portretu tej rasy dzikich ludzi natury. Noszą się, jak ich Pan Bóg stworzył, i tylko przy spotkaniu z obcymi, używają na biodrach przepasek z liści splecionych.

Niektóre pojęcia ludzkie, jakie spotykamy nawet u najniższych szczepów afrykańskich murzynów, są im obce, jak np. pojęcie osobistej próżności i jej skutków, t. j. zdobienia ciała; pojęcie potrzeby jakichkolwiek naczyń, sprzętów domowych lub kuchennych. Pokarm roślinny spożywają w surowym stanie; mięso pieką na patyku nad ogniem i obchodzą się bez soli, tego, dla innych ludzi niezbędnego artykułu żywności. Miód, który wyszukują w dziuplach drzew, zastępuje im sól i używają go w różny sposób, jako pokarmu i środka do konserwowania mięsa.

Jedyne narzędzia Weddy to łuk, topór i krzesiwo. To ostatnie w formie drewnianego przyrządu do wzniecenia ognia za pomocą tarcia dwóch kawałków drewna. Palnej broni nie używają, natomiast władają zręcznie i celnie łukiem i strzałą, której przeważną część codziennego pokarmu zawdzięczają. W wyborze potraw nie są wybredni; wyjąwszy mięso pantery i szakala, oraz wężów jadowitych, jedzą literalnie wszystko, co w dżungli chodzi, lata i pełza.

Mają być nadzwyczaj bojaźliwi; niechętnie wychylają się ze swych kryjówek, nie zbliżają się do obcych, a białego boją się, jak ognia. Mówią, że gdy im potrzeba topora lub nowego ostrza do strzały, których sami sporządzić nie umieją, zbliżają się w nocy do osady Syngalezów lub Tamilów i około mieszkania kowala zawieszają na drzewie kawał mięsa dziczyzny i wyrobioną z drzewa formę narzędzia, jakie posiąść pragną. Krajowcy wiedzą, co to ma znaczyć, biorą mięso, jako zapłatę za wyrób żądany, i następnej nocy Wedda podkrada się znowu dla zabrania przedmiotu, nabytego w oryginalny sposób handlu zamiennego.

Język Weddów, niekompletnie znany, stoi w stosunku odpowiednim do ogólnego, niskiego rozwoju tych ludzi, posiada dziwnie mało wyrazów i posiłkuje się przeważnie naleciałościami z języka syngalezkiego i tamilskiego. Wedda mało mówi i mówić nie lubi. Twierdzono, że śmiać się nie umieją, lecz ma to być nieprawda. Imion własnych nie mają wcale. Pojęcie liczb również jest im obce; podziału czasu na okresy lat, miesięcy, dni i godzin nie rozumieją.

Już z powyższych danych łatwo sobie wyobrazić, w jak ciasnych granicach duchowego życia umysł Weddy się obraca. Religii żadnej nie mają, pojęcie Wyższej Istoty jest im obce, umysł niezdolny wznieść się choćby do najprostszych idej abstrakcyjnych, i dlatego nie są w stanie nauczyć się czegokolwiek. Rząd angielski wprawdzie od pół wieku stara się ich gwałtem nagiąć do kultury i cywilizacyi, lecz wszystkie zabiegi i starania rządu i misyonarzy spełzły na niczem i miały tylko ten skutek, że ich więcej jeszcze od świata odstręczyli, i Wedda wracał równie dziki, jak przedtem, do swych samotnych kryjówek w głuchym borze i do ulubionego łowiectwa.

Wreszcie charakterystycznym jest rysem, że Weddowie nie znają jakiegokolwiek obrządku pogrzebu; skoro umrze jeden z nich, zostawiają ciało nietknięte na miejscu śmierci, a rozkład materyi i dzikie zwierzęta dokonywają reszty.

Setki innych szczegółów życia i zwyczajów tych dziwnych ludzi opowiadali mi Syngalezi w ciągu długich marszów i wieczornej gawędy. Prawdziwie trudno uwierzyć, żeby w dzisiejszych czasach podobnie nizko stojące stworzenia, istniały na Bożym świecie, choćby na Cejlonie, którego jedną z najciekawszych

i wyłączną stanowią właściwość. Dłużej się nimi zająłem, bo sądzę, że niejednego może zaciekawić choć pobieżny opis tego, nietkniętego przez cywilizacyę i kulturę, szczepu ludzkiego, który od tysięcy lat przechował się w dziewiczym stanie natury, jako jedyny dziś na świecie istniejący rodzaj protosantropa, i należy do wielkiego konaru pierwotnych ludów indyjskich, z których się i nasza rasa wywodzi.

Kwestya Weddów stanowi do dziś dnia niezbadane pole antropologicznych studyów dla całego zastępu uczonych, przeważnie darwinistów, którzy w istnieniu tej rasy i jej znamionach odnajdują niezbite, według ich zdania, dowody słuszności teoryi Darwina. Porównywają Weddów z Pygmeami Afryki środkowej i odnajdują w obu rasach wiele charakterystycznych znamion podobieństwa, mających stanowić łącznik między pierwotnym człowiekiem Afryki o wełnistych kędziorach (homo ulothrix) a autochtonem Indyj o długich i falistych włosach (homo euplocomus), których obu znowu od antropoidów wywodzą.

Badaniom Weddów zawdzięcza nauka poważne postępy w dziedzinie antropologii porównawczej; szereg dzieł obszernych i poważnych rozpraw stanowi osobną i ciekawą literaturę w tym przedmiocie.

Liczba Weddów na wyspie coraz się zmniejsza. Ostatni cenzus oficyalny z r. 1881-go obliczył ich na 2.200. Ustępując przed cywilizacyą, bądź faktycznie wymierają, bądź ulegając asymilacyjnemu wpływowi otaczających ludności, powoli się z nią zespalają i w niej znikają. Stąd powstali t. zw. wiejscy Weddowie (Village Veddas), czyli krajowcy, z Weddów pochodzący, którzy z syngalezką rasą się zmieszali i przyjęli od niej sposób życia i zwyczaje, zachowując tylko typ i fizyczne oznaki, Weddom właściwe.

Takim Weddą fin de siècle był właśnie nasz tropiciel Maduma, który mnie do powyższej dywersyi na temat Weddów naprowadził. Od niej do wypadków dnia bieżącego powracam.

Maduma odznacza się brakiem jednego oka, które w walce z bawołem utracił. Nie przeszkadza mu to wszakże widzieć znakomicie i najdrobniejszy szczegół w kniei spostrzegać.

Za jego poradą wyszliśmy dziś z obozu znacznie wcześniej, niż zwykle, t. j. o dobrą godzinę przed słońca wschodem. Gwiazdy jeszcze świeciły i zaledwie jaśniejsza smuga światła na wschodnim horyzoncie brzask zapowiadała, gdy jednooki Wedda sygnalizował na rozległej, wysoką trawą porosłej równinie, duże stado bawołów. Mimo wczesnej pory, już z wypasu do gąszczu wracały. Przodem szedł byk potężny, po grubych rogach widoczny; za nim sztuk ze dwadzieścia rozmaitych rozmiarów. Ze łbami wyciągniętemi, z długiemi rogami, w tył rzuconemi, snuły się sznurkiem w wysokiej trawie. Długo nie mogłem oczu od lornetki oderwać, obserwując ten rzadki widok; przypomniało mi to widziane na obrazach, stada bizonów na bezbrzeżnych preryach amerykańskiego Far Westu.

Kilkaset kroków oddzielało nas od bawołów. Wedda, bezustannie kierunku wiatru próbując, starał się krajem gąszczu drogę im zaskoczyć. Czy nas jednak zwietrzyły, czy przeczuły niebezpieczeństwo, dosyć, że byk, przodem idący, puścił się w galop, a za nim reszta pędem ruszyła. Biegliśmy, co nam tchu starczyło, by im drogę przeciąć, zdawało się jednak, za późno, bo znikały jeden za drugim. Przystanąłem wreszcie, nie mogąc dłużej zwlekać, i obrawszy dwie sztuki ostatnie, strzeliłem do nich na dosyć znaczny dystans. Zniknęły w gąszczu, lecz jasna struga farby na miejscu postrzału dodała nam otuchy, że kule nie chybiły celu. Obie sztuki leżały martwe z kulami w komorach o kilkadziesiąt kroków: duża bawolica i spory byczek.

Najładniejszy to dublet z mojej karyery myśliwskiej.

Nasza spiżarnia polowa zaopatrzona na kilka dni.

Przed południem złączyliśmy się z naszym Tatarem, który rozłożył się obozem w miejscowości zwanej Mandagala. Uchodzi ona za centrum najlepszego rewiru na wyspie. Nasze bryki i namioty roztasowały się na białym piasku wyschłej rzeki koryta między dwiema ścianami ciemnej, bujnej roślinności. Nie mieliśmy jeszcze tak oryginalnego obozowiska i nigdzie nie byliśmy tak daleko w głębi dżungli po za światem i drogą wszelaką. Na białym piasku koryta widoczne tuż pod namiotem, wyciśnięte, świeże tropy słoni, panter i jeleni; spostrzegamy też po raz pierwszy ślady czarnego niedźwiedzia (Ursus labiatus). Małpy harcują wokoło i niepokoją nas ciągłą wrzawą i szelestem w gałęziach. Teren tu falisty, olbrzymie bloki granitu i skaliste głazy piętrzą się wokoło, formując jakby górski łańcuch, oddzielający nas od morza, od którego pierwszy raz odsunęliśmy się nieco w głąb kraju. Rozłożyste platany, smukłe akacye i olbrzymie drzewa kumbukku nadają tu dżungli cejlońskiej cechę nieco odmienną, jakby do kniei w naszem pojęciu tego słowa, zbliżoną. Zamierzamy pozostać tutaj przez parę dni i należycie całą okolicę spenetrować.

Przed wieczorem próbowałem szczęścia na jelenie-axisy, których liczne stada te strony zamieszkują; nie wiedzie mi się jednak z tym gatunkiem cervidów i prócz jednego, nieodnalezionego postrzałka, nie mam nic więcej do zanotowania. Do kolekcyi trofeów dodajemy nową zdobycz w postaci węża Pythona (rock snake). Zeszliśmy go na łące, gdzie prawdopodobnie na ofiarę czatował. Mierzy 7 stóp długości i do niezbyt wielkich liczy się okazów, gdyż dorosłe sztuki dochodzą do 14 i 16 stóp długości. Wpakowałem mu na dwa kroki kulę z Colindiana, lecz wił się jeszcze po strzale i kulisi kijami go dotłukli.

Pierwszy raz dziś przed nocą rozpalają ognie dokoła obozu z obawy przed drapieżnikami. Malowniczo to wygląda i dziwnie nastraja wyobraźnię w tem otoczeniu kompletnej dziczy głuchego boru.

27 lutego. Wczoraj przed północą słyszeliśmy odzywające się w dżungli słonie. Jak huk dalekiego grzmotu, rozległ się nasamprzód gruby, przeciągły ryk pojedyńczego byka, odpowiedział mu drugi i trzeci, potem stado się odezwało całą skalą tonów, od donośnego głosu grubej sztuki do piskliwego kwiku małego słonika; ze wszech stron grzmiały głosy olbrzymich gruboskórców, zlewając się w całość potężnego huku, który tysiącznem echem odbijał się w załomach gór i skalistych wertepów. Dużo ich być musiało, bo się dżungla aż trzęsła od tych dziwnych tonów, to grubych, jak ryk grzmotu, to piskliwych i syczących.

Długo usnąć nie mogłem; najdziksze sceny myśliwskie snuły się w rozbudzonej wyobraźni...

Widocznie mam szczęście do bawołów, bo rankiem zeszliśmy znowu spore ich stadko, z których grubą sztukę udało mi się w ogniu rulować; z lewki do drugiej chybiłem. W dalszym pochodzie natrafiliśmy na ogromne stado jeleni axisów, pasących się na obszernej równinie, pokrytej jakąś dziką, karłowatą jabłonią. Na szerokiej przestrzeni żółciały wokoło wśród krzewów, a między niemi kilka wspaniałych rogalów o smukłych i wysokich rogach. Jelenie te, wyglądem i ruchami, są zupełnie podobne do danieli, i jak one, zwykle stadami się trzymają; w rogach się różnią, nie mając nigdy łopat, tylko zwyczajne rogi jeleniej formacyi. Ostrożne są bardzo i na bliski dystans podejść je trudno, chyba, że sprzyja wyjątkowo korzystny teren, dający możność ukrycia się przed ich bystrym wzrokiem. Z za jednego krzaka za drugi przeskakując, sunęliśmy do nich na czworakach w wysokiej trawie, co, wobec możności napotkania wężów, nie należy do wielkich przyjemności. Raczkując przodem, natknąłem się na stado dzików, którego w zakryciu wysokiej trawy przedtem nie spostrzegliśmy.

Maciora, pod którą o kilka kroków podlazłem, groźnie na mnie spojrzała, nie mogąc sobie widocznie zdać sprawy, co to za stworzenie się zbliża, i chwilę miałem stracha, że, zakrywając warchlaki, opodal stojące, atakować mię będzie w obronie swej progenitury. Zerwałem się na równe nogi, i dopiero wówczas w bok prysnęła. Zepsuło to nam jednak jelenie, które nas zoczyły i uszły.

Odczuwam dotkliwie brak lżejszego sztućca, gdyż strzały z ciężkich kalibrów, szczególnie na dalsze dystanse do mniejszej zwierzyny, są nader niewygodne, i dotąd nie udało mi się, mimo kilku prób nieudatnych, ubić jelenia axisa.

Druga połowa dnia bieżącego wzbogaciła pięknym epizodem skarbnicę mych wspomnień myśliwskich i dodała drugiego słonia do rozkładu naszej wyprawy. Moja żona pragnęła jeszcze raz słonia w dżungli zobaczyć i po południu wyszliśmy oboje z obozu, trzymając się koryta rzeki. Dżungla tu gęsta, wysokopienna, bujną roślinością podszyta, a tak zbita i stratowana przez słonie, jakby wszystkie gruboskórce całego Cejlonu rendez-vous tu były sobie dały. O śledzeniu świeżych tropów nie było mowy, bo za dużo ich było we wszystkich kierunkach. Szliśmy niemi poprostu „na podumajkę", jak to mówią, tylko na wiatr zważając.

Dwa słonie, zwietrzywszy nas, ruszyły niedaleko przed nami. Słyszałem wyraźnie, jak powietrze trąbą wciągnęły i uszły, zakryte gąszczem. Wyszliśmy na jaśniejsze miejsce i przystanęli chwilkę, by, wobec złego wiatru, o dalszym kierunku naszych kroków się naradzić. Rozmawiałem półgłosem z Soultem, strzelbę oddałem Ferekowi i chciałem sobie coś przy ubraniu poprawić, gdy jeden z kulisów, stojący za mną, chwycił mnie gwałtownie za ramię i ręką wskazał przed siebie. Jak siwy blok granitu, pod gąszczem, o 20 kroków przed nami, stał nieruchomie słoń, ze spuszczonym łbem i trąbą zwieszoną. Aż mię ciarki przeszły w tej chwili: byłem bez strzelby, moja żona obok i słoń o 20 kroków... Czy spał, czy nas nie zauważył, czy też nasze towarzystwo groźnem mu się nie wydało,—dosyć, że stał sporą chwilę, jak mur.

Abanti podskoczył z grubym kalibrem i dopiero, gdy Soult począł mą żonę na bok, za leżący tuż obok, duży głaz granitu, śpiesznie odprowadzać, słonisko ruszyło się ze swej apatycznej pozycyi i w bok się zwróciło. W tej chwili posłałem mu pierwszą kulę, która, jak się później pokazało, trafiła ponad samem okiem i wzroku go pozbawiła. Zachwiał się po strzale i padł, lecz dźwignął się ciężko i począł, zataczając się, jak pijany, powoli uchodzić. Bił się o drzewa, łamiąc pnie i gałęzie, i ryczał przeraźliwie z bólu i złości. Porwałem ekspres i puściwszy się w pogoń za ciężko rannym zwierzem, trzy razy jeszcze *à bout portant* do niego strzeliłem. Dopiero trzecia kula za ucho powaliła go martwego na miejscu. Dziwnie się przewrócił na łeb i przednie nogi, a zadniemi się podparł i w tej klęczącej pozycyi pozostał. Sztuka nie była bardzo duża, lecz małemi kłami opatrzona, co u słoni cejlońskich do rzadkości należy.

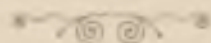
Słonia mierzy się, jak konia, przez łopatkę. Zwyczajna wielkość dorosłej sztuki wynosi 8—9' od ziemi do wierzchu łopatki, lecz są sztuki wyjątkowo duże, do 12' miary dochodzące.

Jestem przekonany, że gdyby nie utrata jednego oka od pierwszej kuli, co mu ucieczkę utrudniło, dając mi możność dogonić go i dobić, byłby i ten słoń umknął i przepadł. Niesłychana jest żywotność tego zwierza, a raczej jego siła odporna przeciw wszystkim pociskom, które do mózgu nie dochodzą. Pierwsza moja kula utkwiła mu w kości nad samem okiem.

I tak pierwszy dzień w Mandagali wzbogacił słoniem i bawołem rozkład naszej wyprawy. W obozie ryk słonia było słychać tak wyraźnie, że formalny popłoch powstał między Syngalezami.

Zapas ładunków do ekspresu topnieje: pozostaje mi po dniu dzisiejszym 18 sztuk. Mój gruby sztuciec, drutem zespolony, z którego dziś raz do słonia strzeliłem, wytrzymał strzał szczęśliwie. Jest nadzieja, że do końca wyprawy dotrzyma.

(*C. d. n.*)



# Nerwowość u zwierząt.

Francuski badacz przyrody, Lepinoy, pierwszy zwrócił na to uwagę, że i u zwierząt występują niekiedy zaburzenia nerwowe, które, podobnie jak u człowieka, mogą pochodzić z najrozmaitszych przyczyn.

W pierwszym rzędzie należy tu brać w rachubę silne wzburzenia psychiczne. U wielu koni strach wobec maszyn parowych i automobilów wywołuje nerwowe drżenie członków i częściowe porażenia. U mniejszych zwierząt domowych obawa kary lub radość ze spotkania długo niewidzianego pana swego wywołują niekiedy, krócej lub dłużej trwający atak o wyraźnie epileptycznym charakterze.

Dr. Hygyer opowiada o następującym wypadku, jaki miał sposobność obserwować na swym kanarku pokojowym. Kanarek wykonywał w klatce najrozmaitsze trele, gdy nagle przyskoczył kot i łapą przewrócił klatkę. Dr. Hygyer wypędził natychmiast kota, który nie zdążył wyrządzić żadnej krzywdy kanarkowi, ani go nawet nie tknął. Pomimo to kanarek, skutkiem silnego wstrząśnienia, był tak przerażony, że oniemiały i zamarły leżał na dnie klatki bez ruchu. Dopiero pryskając zimną wodą, dr. Hygyer zdołał przywołać go do przytomności. Kanarek zaczął znowu skakać i trzepotać skrzydłami, lecz — stracił głos. Przez całe sześć tygodni nie śpiewał: dopiero po sześciu tygodniach nagle głos odzyskał.

Okaleczenia wywołują niekiedy u zwierząt ataki histeryczne. U koni obserwowano nieraz, skutkiem ran, objawy częściowego paraliżu, a autopsya nie wykryła żadnej organicznej tego przyczyny, — było to więc porażenie nerwowe. Dr. Hygyer opowiada o następującem, bardzo ciekawem zdarzeniu. Pies pogryzł 9-miesięcznego kota. Kot natychmiast się przewrócił i został częściowo sparaliżowany. Od owej chwili poruszał się tylko w taki sposób, że tylną część ciała wlókł za sobą. Zarówno tylna część korpusu, jak i tylne łapy, straciły zupełnie czucie i ogon utracił wszelką ruchliwość. Po upływie przeszło dwóch miesięcy, służąca chciała spróbować, czy sparaliżowany kot tak samo, jak zdrowy, upada zwykle na łapy, i wyrzuciła go z okna pierwszego piętra. Kot istotnie upadł na łapy i —o dziwo! — natychmiast pobiegł na wszystkich czterech łapach. Przerażenie przyprawiło go o chorobę nerwową i przerażenie również uleczyło go z newrozy.

Nieraz obserwowano, że piorun, uderzający w stajnię, wywoływał nieznaczne tylko rany i oparzenia, a natomiast stawał się powodem zaburzeń natury histerycznej w postaci konwulsyj i porażenia nerwowego.

Dr. Aruch, profesor szkoły weterynaryjnej w Medyolanie, przytacza kilka charakterystycznych wypadków zaburzeń nerwowych skutkiem gwałtownych wzruszeń u psów.

Pewna dwuletnia, pojętna i bardzo przywiązana do swych państwa suka, która już raz zachorowała po wyjeździe swego pana, uległa znowu chorobliwym zaburzeniom, kiedy po długiem niewidzeniu ujrzała powracającą z podróży, swą panią, wyciągającą dla psa coś do zjedzenia.

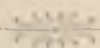
Stwierdzono u psa takie objawy, jak brak apetytu, kaszel, zmianę w głosie i kapryśne usposobienie; potem nastąpił rodzaj paraliżu postępowego i pies

stracił głos. Trzeba go było zabić, lecz przy autopsyi nie wykryto żadnych patologicznych zmian w ośrodkach nerwowych.

W drugim wypadku dziesięcioletni, dobrze odżywiany, inteligentny i przywiązany pies, dostał pewnego razu ataku konwulsyj, kiedy pan jego dał mu za jakieś przewinienie bardzo ostrą naganę. Co najciekawsze, że od tego czasu konwulsye powtarzały się u psa za każdym razem, ilekroć pan wchodził do pokoju, zamiast dawnych objawów radości.

Trzecie spostrzeżenie prof. Arucha dotyczy dwuletniego psa, który był chory na porażenie, lecz od roku już się wyleczył. Kiedy właścicielka kupiła i dała mu za towarzyszkę małą suczkę, stracił humor i apetyt i wkrótce potem zauważono u niego rozmaite objawy porażenia. Żadne leki nie pomagały: pies jednak natychmiast wyzdrowiał, gdy usunięto owego małego pieska.

Wszystkie te spostrzeżenia dowodzą, że zwierzęta, podobnie jak i ludzie, podlegają newrozie o rozmaitym rodzaju zaburzeń nerwowych.



## Korespondencye „Łowca Polskiego".

**Antoniny**, *w październiku.*

Doroczny, a mający już ustaloną swą sławę, sezon myśliwski u hrabiostwa Józefostwa Potockich w Antoninach na Wołyniu, z dniem 12/25 października został ukończony, zwyczajem więc lat ubiegłych, pospieszam z zakomunikowaniem rezultatów polowań.

Konne polowania par force, trwające z górą miesiąc, dzięki sprzyjającej porze, wypadły wspaniale, psy forsowały znakomicie, pomimo że zwłaszcza za jeleniami, sprowadzonemi ze Spały, pościgi przewyższały nieraz przestrzeń wiorst dwudziestu. Wzięto na ogół: 6 jeleni, 3 daniele, 1 kozła, 2 lisy i około 30 zajęcy.

W polowaniach tych, prócz hrabiostwa-właścicieli i myśliwych, wymienionych niżej pod polowaniami na bażanty, brali udział następujący goście: księstwo Stanisławostwo Radziwiłłowie, Ekscel. hrabiostwo Romanostwo Potoccy z synami Alfredem i Jerzym, hrabiostwo Giżyccy, hrabianki Ewa i Eufemia Rzyszczewskie, hrabiowie Siemieński, Przeździecki, a także przybyły z Włoch hrabia Campello i książę Bisaccia z małżonką.

Polowanie na bażanty w Wolickiej i nowozałożonej pod nazwą „Helenin" bażantarniach, oraz w przyległym do Helenina lasku Mało-puzyreckim, przeszło wszelkie, co sie zowie najśmielsze nawet oczekiwania. Rekord wypadł świetnie i sądzę, że bije on dotychczasowe, w całem państwie osiągnięte rezultaty. Ubito bowiem:

| | Bażantów | Słonek | Kozłów | Zajęcy | Królików | Lisów | Różnych | Razem |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| D. 2/15 paźdz. w Wolicy | 976 | 10 | | 11 | 11 | | 2 | 1010 |
| D. 9/22 paźdz. w Heleninie i lasku Mało-puzyreckim | 920 | 2 | 4 | 36 | | 3 | 1 | 965 |
| D. 11/24 paźdz. w Wolicy powtórnie | 1153 | | | 11 | 50 | | 5 | 1219 |
| Ogółem | 3049 | 12 | 4 | 58 | 61 | 3 | 8 | 3195 |

W polowaniach na bażanty, prócz hrabiego-właściciela, brali udział następujący goście: Ambasador Stanów Zjednoczonych, JE. Lengarke Meyer, książę Hubert Lubomirski, margrabia Wielopolski, hrabiowie: Excel. Roman Potocki, Tomasz Zamoyski, Zdzisław Tarnowski, L. Szecheny, Ksawery Orłowski, Kaszowski-Iliński, S. Przeździecki, baron Stumm i p. Tadeusz Dachowski.

Pomimo zbyt wczesnego, jak na bażanty, polowania, w wielu miotach latały one przepięknie, sporo było t. zw. przez myśliwych, jaskółek, t. j. bardzo wysoko szybujących bażantów, całe zaś polowanie, prowadzone wzorowo przez łowczego, p. Matuszka, zyskało sobie ogólny zachwyt i uznanie wszystkich gości, biorących w niem udział.

Królem polowania był Zdzisław hr. Tarnowski, strzelający aż z trzech fuzyj brauningów i robiący kilkakrotnie „quintety". Miał on na rozkładzie około 600 sztuk. Drugim z kolei myśliwym pod względem ilości sztuk, był Tomasz hr. Zamoyski, a trzecim — margrabia Wielopolski.

W czasie trwania rzeczonego sezonu, czyli od d. 5/18 października, paru gości, mianowicie hrabiowie Tomasz Zamoyski, Zdisław Tarnowski, oraz znany sportsmen, p. Tadeusz Dachowski, z hrabią-gospodarzem na czele, zrobiło niezwykłą pod względem lokomocyi wycieczkę, gdyż, wyjechawszy rano z Antonin automobilem do lasów Szepetoweckich, z górą 60 wiorst odległych, zapolowali tam na dziki i o 6 wieczorem powrócili do Antonin, zabiwszy kulami 7 dzików i 2 rogacze. I któżby to przed laty, kiedy automobile nie były jeszcze w użyciu, mógł przypuścić, ażeby w krótkim dniu w październiku, przejechać tak wielką przestrzeń, odbyć piękne, kilkugodzinne na grubego zwierzu polowanie i powrócić na wieczór do domu!

*Artur Śliwiński.*

**Wołyń**, *w październiku.*

Na prośbę włościan gminy Skoworodeckiej, położonej w pow. starokonstantynowskim, o urządzenie polowania na wilki, które w okolicznych wsiach niemałe już poczyniły szkody, p. isprawnik powiatowy, na dzień 4/17 października, zarządził obławę, z 500 ludzi i 20 strażników złożoną, i zaprosił na to polowanie sąsiednich myśliwych. Polowano więc w lasach Nowowielickich hr. Giżyckiego i Wołoszewickich, rządowych. Wilków rzeczywiście było sporo, ale że brakło porządku i rygoru, bo niektórzy, nie powiem myśliwi, a strzelcy, nie czekając pierwszego strzału, jak było umówione, do wilka, poczęli strzelać do innej zwierzyny, a nawet do słonek, więc wilki wynosiły się skrzydłami i skończyło się na tem, że dwa tylko były strzelane, mianowicie jeden o kilkanaście kroków spudłowany, a drugi (ogromna wilczyca) padł z ręki p. Andrzeja Śliwińskiego. W listopadzie polowanie ma się powtórzyć, a że zajmą się urządzeniem tegoż prawdziwi myśliwi, może zatem rezultat osiągnie się lepszy.

*A. Ś.*

**Bożykowice (gub. podolska)**, *w październiku.*

Poczytuję sobie za obowiązek donieść Szanownej Redakcyi o stanie „pióra" w naszych okolicach. Z wiosną zapowiadało się świetnie. Słonek mieliśmy multum, kaczek można było widzieć dużo, bekasy zapadały na błotach. Lecz, na nieszczęście, w kwietniu i w maju zaczęły się ulewy, które widać zatopiły gniazda i pisklęta. Jeszcze przed rozpoczęciem sezonu wiedzieliśmy, że nie będziemy mieli rozkosznych polowań, jednak nie przypuszczaliśmy, że łowy tegoroczne tak marny rezultat wydadzą. Chodziłem prawie ciągle to na błota, to na pola, zasiane koniczyną, kukurydzą i owsem, gdzie się przepiórki chować lubią, to znów na stare stawy, porośnięte wysokiemi oczeretami— i wszędzie rozczarowanie. Przepiórek było najmniej. Więcej było kuropatw i bekasów, kaczki również nie dopisały. Jednem słowem okrutne fiasko.

Jesienny przelot słonek jeszcze się nie rozpoczął. Widzieliśmy, co prawda, na polowaniach w kniei kilka, ale to są wyjątki. W lasach naszych polowania jeszcze się na dobre nie zaczęły, więc sądzić o ilości zwierza jeszcze nie mogę. Ale jeśli będzie równie opłakany, jak i „pióra", to doprawdy będziemy godni pożałowania.

*Stanisław Czosnowski.*



## Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

*Posiedzenie Rady, 30 października.* P. Generał-gubernator, w odpowiedzi na odnośne przedstawienie Rady, zawiadamia, że wydał pozwolenie na urządzenie konkursów strzeleckich w Warszawskiej Strzelnicy, wskutek tego strzelnica, zamknięta przez pewien czas z rozporządzenia władzy, została nanowo otwarta. Rada poruczyła w tym roku urządzenie konkursów właścicielowi strzelnicy, p. Robertowi Zieglerowi. Na innem miejscu podajemy warunki tych konkursów.

*Posiedzenie Rady, 7 listopada.* Sztab fortecy warszawskiej zawiadamia Radę, że, wskutek jej starań, wydał rozporządzenie, ażeby w obrębie fortów Nr. 13 i 14 nie czyniono Warszawskiej Spółce Myśliwskiej żadnych przeszkód przy próbowaniu broni myśliwskiej. Spółka w tym właśnie obrębie ma zadzierżawiony plac, na którym w prowizorycznej strzelnicy wypróbowywa broń, otrzymywaną z zagranicy. W ostatnich czasach władza wojskowa nie pozwalała strzelać w obrębie fortecy. Dzięki jednak instancyi Rady, Spółka, jako dostawca naszego Oddziału, uzyskała powyższe pozwolenie.

### Tegoroczne polowania Towarzystwa.

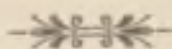
Wydział Ochrony i polowań, na posiedzeniu w d. 5 listopada, wyznaczył na bieżący sezon 8 polowań dla Członków naszego oddziału. W polowaniach tych weźmie udział 136 myśliwych.

Z tych 8 polowań 5 przypada na terena Osieckie, 3 na Miedzeńskie.

Terminy polowań wyznaczono, jak następuje:

1. Augustówka 17 listopada (Prowadzi polowanie kap. Al. Żabczyński).
2. Pogorzel 24 listopada (Prowadzący p. Józef Zarembski).
3. Tchórzowa 1 grudnia (Prowadzący p. Wł. Starzyński).
4. Jantypory 7 grudnia (Prowadzący p. Bronisław Wysocki).
5. Rudnik-Łucznica Górna 15 grudnia (Prowadzący p. Wacław Paszkowski).
6. Miednik 22 grudnia (Prowadzący p. Wł. Starzyński).
7). Sobienie 29 grudnia (Prowadzący p. Br. Wysocki).
8. Lubiec 5 stycznia (Prowadzący kap. Al. Żabczyński).

Polowania Nr. 3, 4 i 7 w razie nieodpowiedniej pogody w terminach wyznaczonych nie odbędą się, lecz wyznaczone zostaną w innych datach. Za nieodpowiednią pogodę uważana będzie pogoda miękka, bezśnieżna. Obręby te, jako mokre, do polowania w porze nieodpowiedniej nie nadają się i dlatego muszą być w danym razie ich terminy zmienione.



## Kronika myśliwska.

*(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).*

W d. 30 września (st. st.) w rewirze Wierzbowieckim, należącym do nadleśnictwa Szepetowskiego, dóbr Józefa hr. Potockiego na Wołyniu, odbyło się małe polowanko w 7 strzelb, na którem ubito lisa, 2 rogacze i 25 zajęcy. Polowanko to z prawdziwą znajomością rzeczy i jak zwykle, wzorowo prowadził miejscowy leśniczy, pan Zygmunt Mączowski, a królem polowania był p. Zygmunt Sobieszczański, mający na rozkładzie rogacza i 4 zające.

---

W d. 3 listopada, w dzień św. Huberta, odbyło się polowanie u p. Jana Siemieńskiego w Krzepinie (pow. włoszczowski, gub. kielecka) w 5 strzelb. Ubito 195 zajęcy, 6 kuropatw, 1 słonkę, 3 cietrzewie; razem 205 sztuk. Najwięcej sztuk na rozkładzie miał Henryk hr. Potocki, t. j. 61 zajęcy i 2 kuropatwy. Opolowana przestrzeń wynosi około 1,000 morgów.

---

W dobrach Kock, w gub. siedleckiej u hr. Żółtowskiego odbyło się 3-dniowe polowanie 6, 7 i 8 listopada w 12 strzelb, na którem padło 935 sztuk, w tem 655 zajęcy, 164 bażanty, 102 kuropatwy, 2 słonki, 4 lisy i 2 odyńce, z których jeden zupełnie wyjątkowej wagi 510 funtów. Królem wszystkich trzech dni był Józef hr. Plater z Niekłania, mając na rozkładzie 140 sztuk.

---

W d. 7 i 8 listopada odbyło się polowanie u margrabiego Wielopolskiego w Książu Wielkim, w gub. kieleckiej.

W d. 7 w bażantarni 5 myśliwych zabiło 195 bażantów, 36 kuropatw, 29 zajęcy i 2 sowy — razem 262 sztuki.

W d. 8 w s t r e j f i e leśnym, pędzonym 4 i pół godziny, 6 myśliwych zabiło 736 zajęcy, 1 rogacza (wypadkiem), 2 lisy, 6 kuropatw, 1 cietrzewia i 1 bażanta. Nadto podniesiono drugiego dnia 24 zające. Razem więc padło w strejfie 771 sztuk, czyli w 2 dni padło 1,033 sztuki.

W r. 1904 w tym samym leśnym strejfie padło 600 zajęcy.

W polowaniu brali udział ordynat hr. Zamoyski, Zdzisław hr. Tarnowski, Juliusz hr. Tarnowski, Zdzisław ks. Lubomirski, August hr. Potocki i Henryk hr. Potocki.



## Konkursy Strzeleckie.

Po uzyskaniu zezwolenia władz na ponowne otwarcie Strzelnicy Warszawskiej przy rogatce mokotowskiej, rozpoczęły się tam konkursy strzeleckie. Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, który w r. b. konkursów własnych nie urządza, dla poparcia tych konkursów wyznaczył na nagrody 400 rb.

Program obejmuje 6 konkursów, z tych:

1) Ze sztucerków la Française na odległość 75 mtr. do tarczy 70 ctm. średnicy;

2) z pistoletu do manekinu na komendę, na odległość 25 mtr.

Dla obu tych konkursów wyznaczono po 3 nagrody w żetonach złotych, srebrnych i bronzowych.

3) Z broni śrótowej dowolnego kalibru do tarczy ruchomej na 40 mtr.;

4) ze sztucerów wszelkich kalibrów i systemów (z wyłączeniem małokalibrowych z bocznem uderzeniem) do znikającego rogacza na 40 mtr.;

5) z takich samych, jak w poprzednim konkursie, sztucerów do ruchomego dzika na 80 mtr.

Dla trzech pomienionych konkursów, jako nagrody wyznaczono: 1 i 2 przedmioty wartościowe z napisami na srebrnej tarczy, 3 zaś żeton srebrny.

6) Ze sztucerów dowolnego kalibru do tarczy 70 ctm. średnicy na odległość 100 mtr. Nagrody trzy: żetony złoty, srebrny i bronzowy.

Zapisy do konkursów pomienionych przyjmowane są w strzelnicy.

Konkursy trwać będą do d. 16 grudnia.

# Drobiazgi myśliwskie.

**Zwierzyniec Białocerkiewski.** P. St. Wotowski, opisując w „Słowie“ swą „wycieczkę na Wołyń i Ukrainę“, opowiada między innemi: „Za parkiem roztacza się zwierzyniec, a właściwiej „dziki park“, mający kilka wiorst obwodu. Ten park o cienistych alejach, złożonych z liściastych i iglastych drzew, jest ulubionem miejscem spacerów hrabiny (właścicielki Białej Cerkwi), a drogi w nim są tak szerokie i wybornie utrzymane, iż nawet można do przejażdżek używać cugów, złożonych z czterech arabskich ogierów. Wśród gąszczów i na polankach przebiegają lub przystają sarny, jelenie, daniele, a polowanie w tym zwierzyńcu jest wzbronione i nie uzyskali pozwolenia na łowy nawet wielcy książęta“.

**Wypadki ze lwami.** W d. 4 listopada w niedzielę na przedstawieniach popołudniowych w Warszawie i... Berlinie zdarzył się o jednej godzinie jednakowy wypadek ze lwami w cyrku. W Warszawie, w czasie popisu z tresowanemi lwami, pogromca Prinz dostał się w szpony olbrzymiego lwa, który go dotkliwie podrapał. Wśród publiczności powstał popłoch, który jednak szybko zażegnano. Pogromcę opatrzył obecny w cyrku doktór K.

W Berlinie, w cyrku Buscha, lwy napadły wchodzącego do klatki, poskramiacza Petersa i poraniły go ciężko, zanim nadbiegła pomoc. Większość widzów stanowiły dzieci. W cyrku powstał popłoch, służba jednak cyrku przywróciła porządek. Raniony Peters, wywołany przez publiczność, wyszedł trzykrotnie na arenę, poczem zemdlał.

**Wypadek po polowaniu.** W ostatnią niedzielę października właściciel folwarku Winiary pod Płockiem, p. Władysław Cichocki, udał się na polowanie. Przechodząc z zabitą zwierzyną przez pola, dzierżawione przez innych myśliwych, został zatrzymany przez stróża, który domagał się oddania broni i zwierzyny. Gdy p. C. odmówił, wówczas stróż schwycił za broń, chcąc mu ją odebrać, p. C. zaś nie pozwalał. Podczas szamotania się nastąpił wystrzał i cały nabój ugodził p. Cichockiego w pachwinę. Nieprzytomnego przywieziono do Winiar i wezwano z Płocka lekarzy: Zalewskiego i Żenczykowskiego, którzy dokonali operacyi, chorego jednak uratować nie zdolano. Nazajutrz wieczorem życie zakończył. S. p. Cichocki liczył zaledwie lat 34, pozostawił żonę i dziewięcioro dzieci.

**Modne ptaki.** Do ubierania kapeluszy damskich znowu weszły w modę ptaki. Najbardziej używane są w tym celu sowy. Agenci zagranicznych firm modniarskich z Cesarstwa i Litwy wywieźli liczne transporty tego ptactwa. Szkoda ptaków! Płeć, zwana piękną, nie powinnaby używać ozdób tego rodzaju.

**Kotka karmicielką zająca.** W Synowódzku, w Stryjskiem, pewnej pani kotka miała przed dwoma tygodniami kociątka, które potopiono. Równocześnie do dworu w Błoniu, położonego o dwie mile od Synowódzka, przyniósł chłop zajączka dopiero co urodzonego, którego w polu znalazł, a kotkę przysłała właścicielka również do Błonia dla dzieci do zabawy. Właściciel Błonia, p. S., podłożył kotce zajączka, który ją w tej chwili ssać począł, a kotka z widoczną radością przyjęła to przybrane dziecko, pilnowała je, lizała, pieściła, a gdy je ukryto, miaucząc, szukała go. Idylla ta trwała około dwóch tygodni. Zajączek wyrósł znacznie, przestał kotkę ssać i uciekł, a kotka tego samego dnia powróciła do Synowódzka.

**2,500-ą wiewiórkę** ubił Jan hr. Mielżyński w d. 26 września r. b. w parku swego majątku Samostrzel w wielkiem księstwie Poznańskiem.

**Napad ptaków.** Łodzie rybackie na morzach Północnem i Bałtyckiem są często przedmiotem ataku niezliczonych chmar ptactwa, zwabionego wonią ryb, znajdujących się na łodziach. Gromady ptaków owych, przeważnie mew, zwabione wonią ryb, znajdujących się na łodziach, zapadają nieraz w takiej ilości, że rybacy nie są w stanie obronić się przed skrzydlatemi napastnikami. Zdarza się czasami, że cały plon połowu pada ofiarą żarłocznego ptactwa.

**Niemiecki związek myśliwski** urządził tego roku zjazd w mieście Trier. Zeszłoroczny zjazd odbył się w Gdańsku. Przez ten rok przybyło przeszło 2,000 członków. Ogółem związek liczy obecnie 16.205 uczestników. Następny zjazd odbędzie się w Hamburgu, albo Altonie.

**Wystawa myśliwska w Antwerpii.** W maju i czerwcu 1907 r. będzie otwarta międzynarodowa wystawa myśliwska w Antwerpii, w Belgii. Wystawa mieścić się będzie w gmachu Towarzystwa Zoologicznego, przy menażeryi antwerpskiej. Wiele krajów przyrzekło już swój współudział w pierwszej, belgijskiej wystawie myśliwskiej. Wystawa będzie pod protektoratem króla, a prezesem honorowym został mianowany następca tronu, książę Albert.

**Zgon Cronau'a.** W d. 19 października r. b. zmarł Karol Cronau, znany hodowca zwierzyny skrzydlatej, współpracownik niemieckich pism myśliwskich i autor licznych dzieł zawodowych, poświęconych przeważnie hodowli ptactwa łownego. Zmarły liczył 81 lat życia, przebywał w dobrach Bischheim, w Alzacyi, gdzie pracował w t. zw. parku angielskim. Specyalnością Cronaua była hodowla bażantów, napisał też cenne dzieło p. t. „Bażant łowny, jego gatunki pokrewne i mieszańce“. Dzieło to w tłomaczeniu polskiem wyszło nakładem „Łowca Polskiego“.

**Psie mięso.** Według „Badische Landes Zeitung“, rok rocznie zyskuje coraz więcej zwolenników psie mięso. Najwięcej go zużywają: Saksonia, Prusy i Bawarya. Tu zauważa się wzrost ilościowy: gdy w roku 1904 zabito na mięso 7,000 psów, w roku następnym liczba podniosła się do 9,690 głów... psich.

**Polowanie na niedźwiedzie na Węgrzech.** „Pester Lloyd“ donosi: Siedmiogród, to Eldoraro grubej zwierzyny, ma do zanotowania wypadek myśliwski pierwszorzędnego znaczenia: ubicie niedźwiedzia wyrosłego, liczącego przeszło pięć lat życia, który pod względem wielkości i wagi stanowi najpotężniejszy egzemplarz z rodziny niedźwiedzi, przebywających w tych stronach. Olbrzymi okaz rodziny *Ursus arctos* wyrządzał częste straty w inwentarzu żywym sąsiednich gospodarstw. Zeszłego lata porwał 25 sztuk dużego bydła. Włościanie byli zrozpaczeni. Zwrócili się przeto z prośbą do znanego łowcy niedźwiedzi, kapitana A. v. Spiessa, o zapolowanie na drapieżnika. Myśliwy czatował 7 nocy i dopiero wtedy ujrzał sylwetki trzech lisów, uwijających się koło jakiegoś łupu; wtem rozlega się mruczenie niedźwiedzia i zaraz potem ryczenie wołu, napadniętego przez drapieżnika, jak się później okazało. Jednakże, z powodu nowiu, noc była tak ciemna, że miś uszedł cały. Następnej nocy kapitan pomyślnie go upolował. Był to istny kolos; długość wynosiła $2^1/_2$ metra, waga — przeszło 200 kg.

# PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ J. O. (*C. d.*).

**Pies.**

1. Aby był piec, będzie i pies.
2. A do budy, psie rudy.
3. Albo bury pies, albo szary wilk.
4. Alboż on pies?
5. Aniby tego pies nie powąchał.
6. Ani pies ogonem nie machnął, a już robota skończona.
7. Ani psa nie drażni.
8. Bitemu psu tylko kij pokazać.

9. Pies, raz bity, skoro ujrzy kij, zamruczawszy, ucieka.
10. Bodajby cię psy zjadły.
11. Bodajbyś poszedł napaść psy i kruki.
12. Bodajbyś skapiał, jak pies na powrozie!
13. Bodaj cię psiska bez kija opadły!
14. Bodaj tak pies płakał!
15. Bodaj tak psy mięso jadły.
16. By na psie raz.
17. By pies na sianie: sam go nie je i krowie go nie da.
18. Byś swemu psu i nogę uciął, przecie on za tobą pójdzie.
19. Choćby pękło twe gardło, już pies zjadł sadło.
20. Choć pies psa nie widzi, tylko czuje, warczy.
21. Choć się pies dąsa, to nie zawsze kąsa.
22. Chudy pies najdłużej żyje.
23. Co pies, to nie koza.
24. Co po psie w kościele, kiedy się nie modli.
25. Co po psie w łaźni.
26. Cudzemu psu, cudzemu koniowi i cudzej żonie nie trzeba dowierzać.

(*C. d. n.*).

## Treść Nr. 22 „Łowca Polskiego".

Przegląd krajowych ssaków łownych. *Jan Sztolcman* (ciąg dalszy). — Jarząbek. *Albert Mniszek* (ciąg dalszy). — W podrównikowej Afryce 1905 r. *Jan Sztolcman* (ciąg dalszy). — Ze wspomnień starego myśliwego. *K. Dębicki.*— Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu. *Józef hr. Potocki* (ciąg dalszy). — Nerwowość u zwierząt. — Korespondencye „Łowca Polskiego". — Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa. — Kronika myśliwska. — Konkursy strzeleckie. — Drobiazgi myśliwskie: (Zwierzyniec Białocerkiewski). (Wypadki ze lwami). (Wypadek po polowaniu). (Modne ptaki). (Kotka karmicielką zająca). (2,500-ą wiewiórkę). (Napad ptaków). (Niemiecki związek myśliwski). (Wystawa myśliwska w Antwerpii). (Zgon Cronau'a). (Psie mięso). (Polowanie na niedźwiedzie na Węgrzech). — Przysłowia myśliwskie *J. O.* (ciąg dalszy).

W felietonie: Polowanie z „kwikiem". *B. Łaska* (dokończenie).

Ilustracye: „Bela".

## Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

**W Warszawie:** rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

**Z przesyłką pocztową:** rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

**Zagranicą:** rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Ś-to Krzyzka 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.



Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

*Nr. 23.* *Warszawa, d. 1 Grudnia 1906 r.* *R. VIII*

# Łowiec Polski

**Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Ś-to Krzyzka 36 w Warszawie.**
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

## KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W grudniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne.

*Lunacja w grudniu.*

Ostat. kw. d. 0 o g. 3 m. 9 r.
Nów d. 15 o g. 8 m. 18 w.

### Wschód i Zachód Słońca
w grudniu

| Dnia | Wschód g. | Wschód m. | Zachód g. | Zachód m. |
|---|---|---|---|---|
| 1 | 7 | 50 | 3 | 48 |
| 2 | 7 | 51 | 3 | 47 |
| 3 | 7 | 52 | 3 | 47 |
| 4 | 7 | 54 | 3 | 46 |
| 5 | 7 | 55 | 3 | 46 |
| 6 | 7 | 56 | 3 | 45 |
| 7 | 7 | 58 | 3 | 45 |
| 8 | 7 | 59 | 3 | 44 |
| 9 | 8 | 0 | 3 | 44 |
| 10 | 8 | 1 | 3 | 44 |
| 11 | 8 | 3 | 3 | 44 |
| 12 | 8 | 4 | 3 | 44 |
| 13 | 8 | 5 | 3 | 44 |
| 14 | 8 | 6 | 3 | 44 |
| 15 | 8 | 7 | 3 | 44 |



NAKŁADEM REDAKCYI
## „Łowca Polskiego"
wyszły następujące dzieła myśliwskie:

**Jan hr. Ostroróg** „Myślistwo z ogary" t. I 75 k.
**C. Cronau** „Bażant łowny, jego pokrewne gatunki i krzyżowania. Historya i hodowla bażanta oraz zakładanie bażantarni" z rysunkami tom I 1.50 „
**Goedde** „Hodowla bażantów" t. I 1.— „
**Rudolf Weber** „Żelaza i pułapki myśliwskie" t. I 75 k.
**Ernest v. Dombrowski** „Myśliwy jako preparator i kolekcyonista" t. I 50 „
**Jul. Biesiekierski** „Kuropatwa szara czyli pospolita" t. I z ilustracyami 80 „
**Wiktor Stephan** „Sarna" t. I z rysunkami 50 „
**Wiktor Stephan** „Zając pospolity" t. I 70 „
**Ernest hr. Sylva-Tarouca** „Hodowca a myśliwy" t. I 1.20 „
**Dr. Max Neumeister** „Żywienie jeleni i sarn" t. I 60 k.
**Dr. O. Hilfreich** „Pies zdrowy i chory" z rysunkami t. I. 1.— „
**Karol Lancaster** „Sztuka strzelania i polowania" z rys. t. I. 80 „
**Jan Sztolcman** „Ornitologja Łowiecka" t. I 80 „

Dzieła te są do nabycia w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Ś-to Krzyska 36) i we wszystkich księgarniach.
Skład główny w księgarni
**K. TREPTEGO**
(w Warszawie, Marszałkowska 149).